

W tekście użyłem zapamiętanych z młodości zwrotów i form językowych,

których używali moi dziadkowie.

Apostrofami (') pozaznaczałem akcentowane głoski.

Chyba coś w nawigacji nawałiło, bo nagle wyjechałem z lasu. Zsiadłem z roweru i sprawdziłem GPS. Według urządzenia byłem w lesie, ale ja widziałem coś innego. Ściana lasu za mną była prościutka jakby ucięta nożem, a przede mną rozciągała się trawiasta równina, na której gdzieś rosy kępki brzozy i pojedyncze sosny. Nie było wątpliwości - maszynieria zawiodła i trzeba było zapytać kogoś o drogę. Na szczęście niedaleko pasło się stadko krów pilnowane przez mężczyznę z dużym, białym psem. Ruszyłem w tamtą stronę. Gdy już byłem blisko, pies zaszczekał i powoli ruszył w moją stronę. Zatrzymałem się, a wtedy mężczyzna zawołał:

– Reks! Póđź tu na!* – zawołał do psa. – Durny ty! Mańka nie po’znałeś?

Zatkało mnie. Skąd facet znał moje imię? Zatrzymałem się i zacząłem mu się przyglądać. Był to stary mężczyzna, a jego pociągła i ozdobiona siwymi wąsami twarz wydawała mi się znajoma. Po chwili nie miałem już wątpliwości. Tak zapamiętałem tego człowieka z dzieciństwa - chodzącego powoli za krowami z wiernym psem u nogi.

– Dziadek!? – wykrzyknąłem. – Co dziadek tu robi? Przecież....

– Tak dziecko, ja już dawno umar – odpowiedział. – Przestra’szyłeś się?

Nie wiem, czy byłem przestraszony, ale zaskoczony bardzo. Mimo to ruszyłem szybko do dziadka, żeby się przywitać. Gdy podszedłem już prawie na wyciągnięcie ręki, dziadek, krowy i pastwis-ko odsunęło się nieco. Zrobiłem jeszcze kilka kroków, a cały świat przede mną cofnął się o taką samą odległość, nie pozwalając podejść bliżej. Wyglądało na to, że stałem jakby przed olbrzymim, rozciągającym się od nieba do moich stóp ekranem kinowym. Oglądałem doskonały technicznie film, ale byłem jak widz z pierwszego rzędu - obraz miałem tuż-tuż, ale nie mogłem go dotknąć. Zrozumiałem, że dzieje się coś niezwykłego i dopiero teraz przestraszyłem się. Potrwało chwilę, zanim się uspokoiłem i górę wzięła ciekawość.

– Trochę mnie dziadek przestraszył – powiedziałem, nadrabiając miną. – Skąd dziadek się tu wziął?

– Nie wiem. Jak za’mknąłem oczy ostatni raz, to nim się obtu’rałem**, byłem już tu - przy krowach.

– Czyje to krowy?

– Wioskowe. Ludzie dają dla mnie krowy do pasienia, to pase.

– To tu jest jakaś wioska? Gdzie?

– A o, tamoj – odpowiedział dziadek i wskazał za siebie.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i w oddali zobaczyłem kilka dachów.

– Duża ta wioska? – zapytałem. – Kto tam mieszka?

– Spora. Jest tam trochę moich znajomych z Rudy, Wólki, Prudna i z Chojny. Ale najwięcej to obce ludzie, ale same moje rówieśniki. Młodszych ani starszych nie ma. Żyję w zgodzie, a każdy robi, to co najlepiej lubiał robić przed śmiercią. Kto rąbał drzewo, rąba, kto kręcił postronki, kręci, a ja pase krowy.

– A jak ktoś lubił przed śmiercią z babą w łóżku pofikać, to teraz też to robi? – wypaliłem bezmyślnie.

Natychmiast zrozumiałem, że pytanie było nie na miejscu i zrobiło mi się głupio. Już chciałem przeproszać, ale dziadek tylko uśmiechnął się filuternie i odpowiedział:

– Ot, żarty się ciebie trzymają. Nie ma tu takich. Musi co z babo w łóżku to nie robota.

Uspokojony, ciągnąłem dalej damsko-męski temat:

– A są tu w ogóle jakieś baby?

– Jest i baby.

– I też robią to, co najbardziej lubiły przed śmiercią? To pewnie ciągle się kłócą i plotkują.

– A ot, nie masz racji. Gadać, gadają, ale się nie kłóco. Robią swoje roboty - wyszywają, gotują.

– I nie tworzą się tu jakieś parki?

Dziadek znów się uśmiechnął pod wąsem i odpowiedział:

– A gdzie tam. Tu chłopcy za babami nie patrz, ani baby za chłopami. Musi co temu, że my już stare.

– Mówi dziadek, że jesteście starzy. To pewnie potrzebujecie lekarza i księdza.

– A po co nam doktor? My już się nachorowali za życia i teraz nie choruję. A i księdza nam nie trzeba. Nie grzeszę, to i spowiadać się nie muszę. Kazania też nam niepotrzebne, bo już na to za późno.

– Ale w niedziele i święta chodźcie do kościoła się pomodlić.

– Tu nie ma świąt ani kościoła. Modlić się też nie ma o co, bo co miało być, to już stało się. Dosyć my się namodlili za życia.

Taki obraz świata, gdzie niczego nie potrzeba i nic się nie musi, był dla mnie niewyobrażalny, więc zamilkłem. Dziadek też się nie odzywał i wyglądało na to, że rozmowa się urwie. Chcąc ją podtrzymać, zapytałem:

– I dziadek tak ciągle pasie krowy? Nie za ciężko to, nie nudno?

– Nie ciężko. Tu pól nie ma, krowy w szkoda nie leżą, to i odganiać nie muszę. Posiedzę trochę pod chwojko***, z Reksem pogadam i tak dzień zleci. Lubie to robić, to i mi się nie przykry.

– Co dziadek robi wieczorami?

– Wiezorami pogadam trochę z sąsiadami - pośmiejem się, w karty pogramy.

– A co robi dziadek zimą, gdy krowy się nie pasą?

– Tu nie ma zimy. Stale jest tak samo.

– Ciągłe jest takie fajne lato? Cały rok?

– Tak. A po co nam tu zimy? My się już dosyć namarzli za życia.

W tejże chwili zrozumiałem, że to jest świat ludzi, dla których wszystko już było. Nachorowali się, namodlili, namarzli i ogólnie nażyli, a teraz robią tylko to, co lubią. Skoro tak jest, to chyba są w niebie. Musiałem się o tym upewnić i zdobywszy się na odwagę, zapytałem:

– Dziadku, czy dziadek jest w niebie?

– Oj, dziecko, ja nieuczony. Skąd mnie to wiedzieć? Tu po’padłem, to i tu jestem.

– A nie chciałby się dziadek dowiedzieć, co z bliskimi? Jak żyją, kto umarł?

– A na co mnie to? Ty tu jakoś wlałeś, to wiem, że żyjesz. A oni? Kto oni dla mnie teraz, a kto ja dla nich? Nikt.

Nie miałem już wątpliwości - dziadek był w niebie i ja to niebo widziałem. Nie było to po katolicku wydumane niebo, czyli „życie z Trójcą Świętą, komunია życia i miłości z Nią, z Dziewicą Maryją, aniołami i wszystkimi świętymi”, do którego „trafiają ci, którzy umierają w łasce i przyjaźni z Bogiem oraz są doskonale oczyszczeni”. Bliżej było mu raczej do Pól Elizejskich przeznaczonych „dla dusz dobrych ludzi”, gdzie owe „dusze wyzbyte wszelkich cierpień i pragnień przechadzają się po bladych łąkach, ogarnięte muzyką niewidzialnych lir”. Tak naprawdę było to zwykłe, chłopskie niebo dla prostych ludzi.

A co ja tam robiłem? Z pewnością byłem intruzem. Dostałem od losu niepowtarzalną szansę porozmawiania z kimś z zaświatów, ale nie umiałem z niej skorzystać. Mogłem poznać tajemnice niedostępne śmiertelnikom, a ja tymczasem tylko zadawałem głupie pytania i zakłócałem dziadkowy spokój. W tej sytuacji nie wypadało mi nic innego, jak jakoś grzecznie zakończyć to spotkanie. Tego też nie umiałem zrobić, ale wyręczył mnie dziadek, mówiąc:

– No synku, będzie****już tego gadania. Szarówka się robi, czas bydło zaganiać.

Powiedziawszy to, odwrócił się, gwizdnął na psa i bez pożegnania poszedł w stronę stada.

– Do widzenia dziadku! – zawołałem za nim i pstryknąłem mu zdjęcie komórką.

Nie odpowiedział, a ja zrozumiałem, że właśnie palnąłem kolejne głupstwo. Jakie „do widzenia”? Gdzie i kiedy? Przecież w tym niebie są tylko dziadkowi rówieśnicy, więc ono nie jest dla mnie. I czy ja, bezbożnik w ogóle trafię do jakiegokolwiek nieba.

Niebieskie słońce tymczasem prawie zaszło. Odwróciłem się, by podnieść rower i wtedy okazało się, że jest jasny dzień, a ja stoję w środku lasu. Wziąłem do ręki komórkę i poszukałem świeżo zrobionego zdjęcia. Był na nim kawałek pnia najbliższego drzewa.

Pódź tu na!– Wracaj!*

*obturać się** – zorientować się, spostrzec*

*chwojka*** – sosna*

*bedzie**** – dość*

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 30.04.2021 11:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.